

Alejka Tadzia



Kiedy Tadeusza Kondrata osierociła żona i nasz sędziwy przyjaciel, nestor scen polskich, postanowił zamieszkać w Domu Aktora w Skolimowie, jego syn Marek wpadł w panikę:

- Nie dopuszczę. Zamieszkas z nami, w naszym domu. Ze mną, z synową, wnukami i psem.

- Synku! I co ja w waszym domu będę robił? Chłopcy do szkoły, synowa do pracy, a ty do teatru. Wielkie pustki, synku. A w Skolimowie mam koleżgów, koleżanki, będziemy sobie wspominali stare, dobre czasy, arie operowe, śpiewali, papieroski palili, a ty będziesz do mnie przyjeżdżał swoją maszyną.

- Ojciec! Wykluczone! Co ludzie powiedzą?

- A ty się synku ludźmi nie przejmuj. Chodzi o to, żebym się nie nudził. Ot co!

I tak się stało. Tadeusz Kondrat, zwany przez wszystkich Tadzim, zamieszkał w Skolimowie i z panem Ludwikiem Miką założyli dwuosobowy klub. W zalanej słońcem oranżerii palili papieroski, śpiewali arie operowe, wspominali stare, dobre czasy, a Marek, gdy tylko mógł, a nawet wtedy, kiedy nie mógł, przyjeżdżał swoją „maszyną” i ojca odwiedzał.

Tadzio z dnia na dzień stał się radością i wdziękiem domu. Ozdobą i chlubą. Najmilszym kolegą. Do klubu dwóch panów doszłusował tenor operowy Lesław Finze, a „klubowiczów” chętnie kokietowały królowa emerytowanych inspicjentek, Halinka Staszewska i białowłosa aktorka, pani Janeczka Bernas. Klub pęczniał i rozrastał się w osobowości. Nawet były przez ZASP-u Andrzej Szczepkowski, gdy przyjeżdżał na wilegiaturę, też do klubu zaglądał. Ale naturalnym przewodniczącym klubu pozostawał Tadzio i on nadawał fason całemu towarzystwu. Uśmiechnięty, pogodny, uprzejmy, towarzysko zawsze dyspozycyjny, na pytania typu: - Tadzium, jak się czujesz? - albo: - Jak ci się żyje? - zawsze odpowiadał mocnym, doniosłym głosem.

- Fe - no - me - nal - nie!!!!
A przecież nie zawsze czuł się fenomenalnie. Wypadek samochodowy, któremu uległ, jadąc nocą na plan filmowy w roku 1955, przerwał bezwzględnie piękną karierę aktorską czterdziestoosmioletniego mężczyzny i pozbawił go trwale pełnej sprawności fizycznej. Miał kłopoty z chodzeniem i pomagał sobie laską. A mimo to, codziennie o godz. 10 rano wychodził z pokoju w aurze ujmującej męskości i podążał na spacer, którego celem była figurka Matki Bożej, umieszczona w dziupli jednej ze starych wierzb, ronących w alejce, biegnącej wzdłuż siatki przy drodze do Konstancina. Przy tej kapliczce Tadzio rozmawiał ze swoją zmarłą żoną Osią.

Kiedy patrzyliśmy na samotną postać dokonującą cichych misteriów, którym towarzyszyły życiowe rachunki, może w pokornej ciszy snute sentymentalne wspomnienia, mimo woli przywoływałyśmy inny obraz Tadzia, wylaniający się z wesolych słów o nim Halinki Staszewskiej.

To było w Krakowie, tuż po wojnie. Pewnego wieczoru w Teatrze Słowackiego nie odbyło się przedstawienie „Trzech Króli”, choć powinno. Dwaj młodzi aktorzy nie przybyli na spektakl. Szukano ich wszędzie. Zniknęli. Kamień w wodę i już.

Władysław Staszewski, mąż naszej Halinki, aktor i prezes krakowskiego ZASP-u, szedł tego południa ulicami Krakowa mocno zasumowany. Lęk o kolegów, i irytacja i wściekłość - uczucia zmienne i kłopotliwe, targaly nim na cztery strony świata. Kombinował, co te znane wszystkim wagabundy mogły zmalować. Mocno zatroskany Prezes wszedł na kocię tby krakowskiego rynku. Słońce już dobrze przygrzewało, parasole krakowskich kwaciarek rozpięte nad bukietami kolorowego kwiecica stroiły miejski pejzaż barwnie i wesolo, gołębie z łoskotem wyfurkiwały spod prezesowych stóp. Ale w sercu Prezesa było czarno. A może gdzieś, nie daj Boże, na jakimś UB albo posterunku utknęli? Czasy ciągle jeszcze nie ustabilizowane i dziwnie niepewne. Może by więc na Komendę Główną? Spojrzył na zegarek. Kwadrans po dwunastej? I nie styszał hejnału? Zauważył, że wielu przechodniów spogląda na zegarek, a potem w oienka wysokiej wieży mariackiej. Przystają, na coś czekają. Komentują.

Prezesem targnęło przeczcucie. W te pędy pogalopował do kościoła, do zakrystii, do dyżurnego księdza.

Wdrapali się po stromych, drewnianych, trzeszczących schodach i kiedy zasapani i utrudzeni dotarli do platformy hejnałowej, cóż ujrzeli?

W cieplej smudze słońca spali snem bożym trzej panowie: Tadzio Kondrat, Tadzio Surowa i strażnik obejmujący czule swą trąbkę.

Aaaa! To tak się sprawy mają? Zbudzone ze snu warcholy cienia wyrzutów sumienia nie miały, a co gorsza, strażnik trapiony solidnym kacem, żadną miarą nie potrafił wytrąbić spóźnionego hejnału. Wargi mu się w trąbkę zwiły i zamiast w metalową rurkę trąbki, dmuchał obok.

Jak się to wszystko zakończyło, Halinka Staszewska nigdy nam nie wyjawiała. Tadzio również rzeczy nie odkrył, choć bardzo lubił to zdarzenie i chwalił Halinkę, że dobrze opowiada. Nawet był dumny, że w historii nie odrąbionych hejnałów krakowskich miał swój udział i ubarwił ich dzieje.

Pewnego dnia w moim domu wczesnym rankiem zadzwonił telefon.
- Zosiu, mówi Marek - głos miał nie taki jak zawsze. - Tadzio. - Kropka spadła jak kamień. - Kiedy? - Wczoraj wieczorem.

W Skolimowie zgasio światło na długie, długie tygodnie. Nie wyrażaliśmy zgody na jego nieobecność. Migał nam w przywidzeniach, to na ławeczce, to w klubowej oranżerii, to na krzeselku przed gabinetem lekarskim, ale zawsze i obowiązkowo pod tą wierzbą z kapliczką Matki Bożej, szaro posmutniałej, że straciła wiernego Laurze Filona.

Wreszcie Andrzej Szczepkowski podczas jednego ze swoich tam pobytów zdenerwował się i powiedział do Lesia Finzego:

- Tego Tadzia nie sposób zapomnieć. Trzeba stworzyć coś materialnego, co stałoby się Tadzim i zostało na wiek wieków. Nazwijmy alejkę wierzbową Jego imieniem.

- Niech tak będzie.

Sprawę powierzono mnie. Zamówiłam w Bazarniku na Nowym Świecie niebieską, białą ramowaną tablicę (mili Państwo zrobili ją honorowo, nieodpłatnie, w dowód uznania dla zasług Tadeusza Kondrata), został wyznaczony dzień otwarcia alejki, Lesio Finze wg receptury Tadziowej przez dwa tygodnie „trząsał” nalewką cytrynową, na danie bankietowe zadysponowano ulubioną potrawę Tadzia, czyli fasolkę po bretońsku, wreszcie zaproszono gości, przyjaciół Tadzia.

Jadą goście! Tłum!!!

Na podjazd wjeżdża Marek z rodziną. Wysiąda. Podchodzi do alejki, czyta tablicę, robi się błąd i mówi:

- Zośka, kicha!

- Co jest?

- Nazwisko nieprawidłowo napisane. Nie Kondrat, ale Kondrat. O jedno d za dużo.

- O psia kostka. Hańba!

Lecę do Andrzeja Szczepkowskiego.

- Andrzej! O jedno d za dużo!

- Jak to możliwe? Przecież wszyscy patrzyliśmy jak sroki w gnat i nikt nie wyłapał!

- Nie wyłapał. Co robić?

- Robić dobrą minę do złej gry. - Ale to nie uchodzi. Wobec Marka nie uchodzi. Ratuj!

No i Andrzej uratował.

Po mszy za duszę Tadziową, po pokropieniu wodą święconą progę alejki przez naszego kapelana ks. Orzechowskiego, Andrzej tak pięknie przemówił, że spłakaliśmy się wszyscy jak bobry. A na zakończenie powiedział tak:

- Dzisiejsza uroczystość nie byłaby ważną i należycie zapamiętaną, gdyby nie wdał się w sprawę nasz przekorny Tadzio i dbając o to, żeby nie było zbyt poważnie i patetycznie, nie spłatał nam figla. Jak państwo widzą, na tablicę wkraść się przez nikogo nie zauważony błąd. To ręka Tadzia! Rozmawiając sobie z Tadzim podczas mszy świętej przyrzekłem mu, że nie porzucamy na tym i dla wyrównania jego żartu, kiedy będziemy w przyszłości otwierali alejkę Zosi Kucówny, nazwisko jej napiszemy przez „tz”.

Śmiechu było co niemiara, wzruszenia też, bo i Marek pięknie mówił, i Wojtek, wnuk Tadzia, punkt dwunasta, na Anioł Pański, przy kapliczce Matki Bożej, grał na skrzypcach czwartą część sonaty E-dur Haendla, a potem była cytrynówka dobrze „wytrzęsiona” przez Lesia, a potem fasolka po bretońsku i wcale nie było smutno, lecz bardzo po Tadziojemu. Mimo wesoloci, przeżywałam swoją gałę. Spokój zapanował we mnie dopiero wtedy, gdy przywołałam następną tabliczkę, napisaną poprawnie, a kiedy została zamocowana, mogłam zadzwonić do Marka i zameldować mu:

- Marku, już nie ma dwóch d.

Śmiał się, jak to on potrafi, swoim chichotliwym, perlowym śmiechem. Jak ojciec jego, kochanym.

W „Alejce Tadeusza Kondrata” szumią wierzby imię Tadzia i Osi, przed kapliczką kwitną kwiaty, a na pustej ławeczce ukazuje się czasem cień jasnego, promiennego pana. Ból po nim minął, bo się już zmateriałizował.